



POZNAŃSKIE TOWARZYSTWO
IM. IWANA FRANKI
ПОЗНАНСЬКЕ ТОВАРИСТВО ІМ. ІВАНА ФРАНКА

Marica

**UŁAS
SAMCZUK**

MARIA

Ulas Samczuk

POWIEŚĆ

Przekład

Marta Żakowska

Tytuł

Maria

Autor

Ulas Samczuk

Wydawnictwo

Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki

Przekład

Marta Żakowska

Redakcja

Przemysław Lis-Markiewicz

Korekta

Anna Chyckowska

Projekt okładki

Tetiana Boiko

Copyright by Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki

Copyright by Marta Żakowska

ISBN: 978-83-967959-4-6

Poznań 2023

Księga o narodzinach Marii

I

Jeśli nie liczyć ostatnich trzech, to Maria powitała i spędziła na świecie dwadzieścia sześć tysięcy dwieście pięćdziesiąt osiem dni. Tyle razy wschodziło dla niej słońce, tyle razy doświadczała słodyczy życia, tyle razy widziała niebo, czuła zapach ciepła słonecznego i ziemi.

Nie liczy się tych kilka dni, które przeżyła z zamkniętymi oczami po urodzeniu. Nie oznacza to, że nie oglądała wówczas nieba i ziemi. Już je czuła, bo była stworzeniem, które się poruszało, czuło głód i głośno o tym oznajmowało. Kiedy jej ciepła i radosna matka, chłopka Oksana, wyjmowała piersi zza długiej pazuchy, Maria czuła je z daleka, trzepotała usteczkami i próbowała otworzyć swoje przyszłe oczy. Oksana naturalnie pomagała jej, przykładając piersi do tego miejsca, które później nazywało się ustami, a dwa delikatne, ciepłe różowe płatki wespół je obejmowały.

Popłynęło, pociekło mleko. Oksana, z Marią na podolku, siedziała lekko pochylona, przytrzymując lewą ręką maleńkiego człowieczka, prawą zaś pomagając piersiom wypełniać swoje przeznaczenie. Pochyliwszy głowę w prawo, oczy spuściła i nakryła długimi powiekami, a usta stuliła w lekkim i przejrzystym uśmiechu.

Oksana patrzyła z pobożnym zdumieniem na swoje pierwsze marzenie, które, zobaczcie, jest żywą, rozkrzyczaną rzeczywistością o imieniu Maria. Jej twarz jest prawdziwa, różowiutka, z białym znamieniem na malutkim nosku i czerwonymi plamkami na policzkach. Będzie miała oczy. Tak. Będzie miała oczy; i one będą widzieć. Ma czoło, a za nim ukryty jest zarodek umysłu, który już za chwilę rozwinie się, rozkwitnie, pozna dobro i zło.

Wrywa się z niej i zamiera w połowie westchnienie radości i zarazem strachu, że jej piersi nie są jeszcze gotowe.

Ale nie było powodu, żeby się bać. Wierście mi, jej piersi już od dawna były gotowe.

Są pełne, obrzękle, wyzywające. Kiedy płatki ust Marii dotykały ich jagód, przebijało się przez nie mleko, a Maria piła z zachwytem i szczerym zapalem, właściwym prawdziwemu wojownikowi o byt.

Do jej żył napływały nowe, radosne, czerwono-zuchwale cząstki życia, które z niesamowitą zręcznością budowało komórki, mnożyło je, lepilo cudowne, skomplikowane formy korony stworzenia. Działy się wielkie cuda, a pierwszym z nich było otwarcie oczu i poznanie światła słonecznego.

Była wiosna, drzewa kwitły, ptaki krzyczały, parowała spocona czarna ziemia.

Później słońce wschodziło i zachodziło każdego dnia. Kwiat opadał, siejąc lekki puch, dotykał ziemi i tlał. Na gałęziach zawiązywały się pączki, rosły i śpieszyły się, aby dojrzeć.

Słońce nieustannie pracowało. Przysyłało ulewę, naganiało pękate chmury, pluskało, dudniło i umieszczało siedmiokolorową tęczę między krajami nieba. Zielony liść pod ciężarem przezroczystych kropli, kiście niedojrzałych jabłek zdobnych w rubiny, topazy, ametysty. Pochylone lany pszenicy prostują grzbiety niczym mnisi po długiej modlitwie.

Ziemia obraca się na boki. Wiśnie i czereśnie nabrały kolorów, barw krwi i promieni słonecznych. Są krystalicznie przejrzyste. Jabłka, śliwki i winogrona są pełne soków i również przejrzyste. Chce się pić i upajać. Lasy ogarnął pożar, płoną, nie paląc się. Płonące języki odrywały się od gałęzi, powoli opadały na ziemię i krzyczały pod nogami.

A potem odzywała się północ. Wielki Wóz staczał się daleko w dół, gwiazdy błyszczały niczym kryształy na stalowym nieboskłonie. Ziemia zwijała się w gniewną pięść i naciągała miękką białą rękawiczkę.

Mała Maria szła już przez życie. Niejednokrotnie przebudza się ze snu, pije z piersi matki pachnący napój i napelnia się radością... Gaworzy, podnosi nożyny do samego nosa, zawzięcie nimi kopie, rozczapierza ledwo widoczne palce, a rękoma łapie przed oczami jakiś natrętny obraz. Tyle pracy, przestrzeni. Takie cudowne i pyszne mleko!...

II

I tak zaczął się szósty rok życia Marii. Jej głowa pokryła się miękkimi czarnymi lokami, jej oczy płonęły niczym odłamki wypolerowanego antracytu. Ojca nazywała tatą, matkę – mamą. Uwielbiała to robić bez ustanku. Ale jej matka w tym czasie przeziębila się i zachorowała na straszną chorobę. Kaszlała, trzymając się za klatkę piersiową. Te bujne, niegdyś pełne mleka piersi teraz zwędły i wyschły.

Ojciec pracował w kamieniołomach. Zaczynano wtedy budować domy z kamienia i ojciec ze skał nie wychodził. Miał ogromną brodę i wąsy. Wróci wieczorem zmęczony do domu, zdejmie mokre buty, usiądzie przy stole i będzie żuł kawałek chleba albo ziemniaki w mundurkach. Maria zaraz pojawi się obok niego.

– Tato!..

– Co, córko?

– Można do was na kolana?...

– No chodź, chodź...

Umościć się na kolanach i co?... Siedzieć sobie spokojnie i słuchać, jak tato oddycha; patrzeć, jak powoli przeżuwa, jak porusza się jego broda i błyszczą wąsy. O, nie! Dlaczego w takim razie te wąsy i brody są takie duże i miękkie? Same proszą się, aby wsunąć w nie ręce i pociągnąć jak należy. I Maria bierze się do roboty. Co z tego, że tato jest zmęczony? Kręci głową i milczy, jakby w ogóle niczego nie zauważał. Silny tato, dobry tato. Maria jest dumna z takiego taty, bo drugiego takiego taty nie ma na całym świecie.

A pewnego wieczoru tato długo nie wracał z pracy.

– Mamo! Gdzie nasz tato tak długo?...

– Czy ja wiem, gdzie on się podziewa. Nie ma go i nie ma. Kamienie tłucze...

Na zewnątrz krzyki i harmider. Matka wybiegła i krzyknęła. Maria nie miała pojęcia, dlaczego matka wybiegła i krzyknęła. Drzwi się otworzyły i do chaty wpadła kupa ludzi

pokrytych kamiennym proszkiem, w zamarzniętych łapciach i trzewikach. Dźwigali oni coś, wnieśli to do środka i położyli na ławie.

Maria boi się i zaczyna płakać. Wcisnęła się w kąt na zapiecku, nikt nie zwraca na nią uwagi, przywiera do ściany. Mama kłeka przy ławie i zawodzi, to przerażające. I wszędzie pełno obcych ludzi. I na ławach, i za stołem, i na zapiecku. W sieni też cisną się i hałasują ludzie. Ojca wcale nie widać.

I tak trwało to dwa dni. Maria była przestraszona, wołała tatę i bardzo chciała jeść. Dlaczego tak o niej dzisiaj zapomniano, a matka, kiedy ją zauważyła, zamiast nakarmić, porywa ją na ręce, zalewa się łzami i przyciska do suchych piersi tak mocno, że Marii wręcz sprawia to ból?

Następnego dnia obcy ludzie zabrali dokądś tatę i nie przynieśli go z powrotem. Wieczorem jedli, pili, a nawet weselili się. Jedna ciotka Kateryna została na noc z matką, a inni się rozeszli.

Mija dzień, dwa.

– Mamo! Gdzie jest nasz tato?... Dokąd go zabrano? Tato!... Tato!...

– Och, dziecko moje kochane, och ty, moja sierotko! – matka przytula, przyciska do siebie Marię. – Nie ma już, dziecko, taty... Zabił go kamień...

– Kamień? A gdzie tato?

– Nie ma. Zasyпали go ziemią. – Oksana ociera łzy.

– Zasyпали ziemią... Tacie będzie ciężko. Prawda, że będzie mu ciężko?

– Ach, dziecko, dziecko! Wszędzie było mu ciężko. Może tam będzie łatwiej...

– A dlaczego płaczecie?

– Nie, nie, dziecko. Już nie płaczę. To, dziecko... To tak sobie... Już nie płaczę.

Oksana pieści, przygarnia do łona, całuje Marię. Oczy zalane łzami, ciężar w piersi.

Dwa miesiące później położyła się do łóżka i już nigdy nie wstała. Przychodziła ciotka albo sąsiadka, paliła w piecu, gotowała ciepły posiłek, karmiła Marię, myła ją i odmawiała „Ojcze nasz”.

Matka leżała na łóżku, nie mówiła, nie płakała. Oczy duże, wylupiąste. Nos cienki, ostry, twarz żółta. Maria czuła coś niewypowiedziane okrutnego, krążyła po ławach, po zapiecku, nie znajdując sobie miejsca.

I nadeszła noc, kiedy Marię zabrano z domu, w którym leżała Oksana i przeniesiono do sąsiadów. Spała z nią ciotka Kateryna. Maria zasnęła. O północy obudziła się nagle i zaczęła rozpaczliwie płakać.

– Oj mamo! Oj, mamo, mamo!... – krzyczało bez przerwy dziecko.

– Cichaj, dziecko. Cichaj, kochanie. Matka zaraz przyjdą. Wyszli, ale zaraz wrócą. Śpij, dziecko, śpij...

Maria chlipała:

– Mamo! Gdzie jest mama?... Gdzie jest mama?

Ciotka Kateryna nie daje rady. Maria wyciąga przed siebie ręce i wciąż woła mamę. A w dzień w chacie znów jest pełno ludzi, Maria znowu przestraszona i głodna siedzi na zapiecku. Na długim stole, cała w bieli, otoczona świecami, leży matka. Maria boi się płakać. Matka śpi. Dlaczego matka tak długo śpi na stole i dlaczego palą się świece? Ma mocno zamknięte oczy, mocno zaciśnięte cienkie usta i zupełnie żółtą twarz.

III

Minęło wiele dni. Każdego dnia Maria wołała mamę i czekała na nią, ale zachodziło słońce, Maria kładła się spać, wstawiała – a matki nie ma i nie ma. Powoli zaczęła zapominać. Mieszkała u ciotki Kateryny. Gdzie się podzieje sierota? Wzięła ją i na początku nie było źle. Dobra, łagodna. Ale człowiek nie może być wiecznie miły i łagodny, zwłaszcza jeśli ma pięć krzykliwych gąb do wykarmienia. Każdy chce jeść codziennie, temu potrzeba butów, temu spodni, ten złamał nogę, ten dostał kokłuszu. Wujek Tyc czochra swoją wielką czuprynę.

– Aj-aj-aj-aj! Co ja z nimi zrobić? Zamęczą mnie!... – Biega, płacze, gdzie może, tam lata dziury, zapycha gęby... I wtedy Maria odczuła swoje sieroctwo.

Jej czarne mięciutkie loki długo nie były myte i zbily się w twarde kołtun. Pojawiły się w nich pasożyty, które gryzły i męczyły Marię. Dziewczę rozdrapywało sobie skórę, na której porobiły się ropiejące strupy. Okrągła główka pokryła się obrzydliwymi kołtunami, na ramionach wisiała brudna połatana koszulina. Jeść? Co mogła jeść Maria? Kawalek czarnego suchego chleba, niedojrzałe warzywa, kartofle, tak samo czerstwe, wodniste, jak te ugotowane dla wieprzka i kur. Miała duży spuchnięty brzuszek.

Gdy minął rok, Maria musiała już coś robić. Nie będzie przecież darmo jadła chleba. Powiedzcie, dobrzy ludzie, któż by darmo karmił sierotę? Dzięki Bogu Maria nie jest ślepa ani krzywa. Zakręci się – jak wiatr, ziemia dudni. Krzyknie – w drugiej wiosce usłyszą. Głosik, że daj jej Boże zdrowie...

Przez całe lato pasła gęsi na wygonie. Wstawiała wcześniej wraz ze słońcem, zawijała w szmatkę kawałek suchego chleba i gnała stadko nad rzekę. Nóżęta czarne, popękane, z poodbijanymi palcami. Stąpa ostrożnie po zakurzonej drodze, potem po rosie. Rosa rozmacza rany, brud wnika w nie i kęsa ciało. Czuć ostry ból, pojawia się czarna gęsta krew.

Ale Maria nie zważa na to. Nie ma czasu zważać. Jedna z gąsek przedostała się do cudzego ogrodu. Biegnij, Mario, za nią szybciej, bo wyjdzie gospodarz z batem, to zobaczysz. Jak pociągnie po bosych nogach, to przysiądziesz na miejscu. Oprócz tego na wygonie jest pełno takich samych Marii, Mykołów, Hnatów. Trzeba hasać, bawić się w świnki, w czarownicę. Dmytro Czornookyj, zły i krzykliwy chłopaczysko, bije się i przeżywa. Maria milczy, czasami zapłacze i nie wie, co dalej, czy łzy wycierać, czy nos. Bawią się w czarownicę, a Dmytro nigdy nie wybiera Marii do „czarowania”. Wszystkich innych tak, tylko nie ją. Przykre to i bolesne, inni mówią: „Czekaj, czekaj! Jak powiem mamie, to zobaczysz!...”. Maria nie mówi „czekaj, czekaj”. Na co to? Pójdzie nad rzekę, pochłapie – i znów dobrze. Znów biegnie i krzyczy. Znowu w grupie, znowu Maria upomina się o swoje prawa. Popękane nóżeta tupią, głos słychać w drugiej wiosce.

Gdy miała lat dziewięć, Maria rozpoczęła samodzielne życie. Poszła na służbę do Marcina Zaruby. Porządny gospodarz. Marię tam myto, czesano, odkarmiono. W zamian za to latem pasła dwanaście sztuk bydła, zimą nosiła wodę, ścieliła słomę w chlewie, pomagała tkąć wełnę, len, przędła i zwijała je w kłębki.

Maria szybko rosła. Dwunastej wiosny poczuła dziewczęcy wstyd i gdy spotykała chłopców, spuszczała długie czarne rzęsy. Patrzą, wytrzeszczają na nią ślepią – i wszyscy: „Och, ależ to będzie dziewczka!...”

I Maria stała się – och, ależ dziewczką! Nie skończyła jeszcze piętnastu lat, jak zaczęli się za nią oglądać i strzyc oczami. Na nieszpórach obok monastynu to jeden, to drugi kręci się w pobliżu, ale ona schowa się między dziewczętami – i znajdzie ją tam. Hryćko z Dąbrowy, Anykij Bałaba, Hnat Kucharczuk... Ach, gdzież tam Hnat w takiej rywalizacji! „Zobacz, przyjrzyj się sobie, jakie masz rude wąsy” – śpiewały mu dziewczęta. Niskiego był wzrostu i na prawą nogę utykał. Jeszcze jako mały chłopiec uderzył się siekierą w kolano, noga zgięła się i w takiej pozycji zrosła. Ale co on winien, że i jemu podoba się Maria? A Maria nawet go nie zauważała, chyba że dziewczyny czasem o nim wspomniały.

Marcin Zaruba miał dwie gospodarki. We wsi i w chutorze. W chutorze gospodarzył sam, we wsi rządziła jego stara matka Domacha. Stara lubiła Marię, ale dziewczyna wolala chutor niż wieś. Tam była przestrzeń. Krzykniesz – i głos po wszystkich polach się potoczy. I mniej tam żartownisiów... Wyszczrzy taki zęby i hi, hi! Wstydź się, chłopaku. Zobaczcie, tylko w słońce by patrzyli! Przyjdą żniwa, nie do żartów ci będzie... Pleców nie będzie czasu wyprostować. Marcin, znacie takiego? Gospodarz. Tacy nie marnują czasu...

A co robi Maria? Żnie, wiąże zboże za kosiarzami i dźwięczy niczym skowronek. Goreją jej czarne, bezdenne oczy. Spojrzy – spojrzeniem oparzy. Policzki ma pełne, okrągłe, z doleczkami. Loki płoną czarnym płomieniem. niespokojny to obraz, obraz śpiewający.

Wieczory w chutorze, kiedy słońce ostatecznie zgaśnie, są dźwięczne, donośne, a gdy śpiewasz, głos wije się i obejmuje z gwiazdami. Maria unosi swoje wysokie piersi i dobywa z nich głos – dźwięczy, dźwięczy jej mocna, pachnąca pieśń, unosi się nad polami, wiruje niczym mewa, rozsypuje się biciem dzwonów...

Ech, Mario! Ech, ty, ty!... Maria nie zawsze śpiewa. Czasami coś ją dławi w gardle, zbiera się żal i wylewają się one – łzy dziewczęce, rzęsiste i gorące... Ale nie dlatego Maria płacze, że sierota. Nie, nie dlatego Maria płacze. Maria płacze, kiedy w szerokim świecie robi się jej ciasno, a dusza potrzebuje przestrzeni. Synowie i córki Marcina w szkołach nabierają rozumu. A skąd ma go wziąć Maria? Wiele mają w głowach, a Roman wie nawet, dlaczego grzmi i skąd bierze się tęcza... Mają książki... Boże, ile mają książek! Przywożą ze sobą nowe piosenki, odezwie się gitara, a piosenka taka cicha, nieśmiała, inna niż piosenka Marii. Gdzież jej tam do piosenki Marii. Maria nie mamrocze, ale śpiewa. Roman marszczy brwi i, jak mówi, daje popis solowy. Pieśń grzmi, pieśń płacze, pieśń się śmieje!...

Pewnej niedzieli pograżyli się w słuchaniu książki. Książka gruba i smutna. O Bóg wie jakim tam Murzynie, którego bili. Ach, gdyby można było opowiedzieć o swoim, o własnym. Wyrazić swoje myśli. Słucha grubej książki, płacze, wyciera mokre oczy i prosi o więcej. Ciekawe co będzie dalej. Niech książka prawy. Tyle w niej smutku.

– Roman, nic z tego nie będzie. Daj Marii spokój. Wstyd na mnie ściągniesz. Nie przywódź sieroty do grzechu – mówił Marcin Romanowi. Niepotrzebnie.

Maria nawet nie myślała o tym, żeby spojrzeć na Romana. Parobków się naschodziło ze wszystkich wsi. Uśmiechnie się, zażartuje, a wyjdiesz do niego do sadu?

A czy to ona wie...

Kto wie zatem?

Kto nie wie.

Szydzisz, Mario.

Ha, ha, ha! Nie spodobało się co mówię, to zabieram to z powrotem. Nie chodź za mną i nie zwracaj mi głowy. Zmykaj w podskokach!

Diabelskie ty nasienie, Mario! Niech ja cię tylko dostanę...

Maria okręciła się – i zniknęła. Lepiej gonić za chmurą niż za nią.

Marcin Zaruba ma dziesięć krów, jałówek, bezrogich. Ma sześć koni roboczych. Przez cały rok dwie dziewczyny najmitki ledwie dawały z tym radę. W podwórzu pracują parobkowie. Na żniwa Marcin brał dodatkową siłę roboczą. Pole szerokie, ziemia czarna, pszenica, chmiel, buraki udają się bez nawozu. Ogród rozległy, pasieka tętni życiem. Jesienią stodoły pękały od ziarna. Wokół sterty pszenicy i owsa. Ogród sypie jabłkami, śliwkami. Zapelnione piwnice, kosze, stajnie. Gdzie jeszcze jest miejsce? Dawajcie je tutaj!...

Na Matki Boskiej Siewnej święto i zabawa. Jest harmonia, kieliszki i słynna kielbasa. Pachnąca, smażona z cebulą, jeszcze i przyprawiona. Wychylish kielicha, oczy się

rozjadą, a przekąski są jak dla duszy, tak i dla ciała. Policzki czerwienieją, nogi stają się lżejsze i wszyscy przytupują, jak konie baskijskie. Jasnowłose, szczupły Kornij różnie na harmonii – chcesz czy nie chcesz, ciało samo rwie się do tańca, czapka spada z głowy. Czort z tego Kornija. Wąs mu się sypie, loki ma długie, brwi jedwabiste, oczy brązowe. Maria tańczy, przytupuje. Stawia nóżkami drobne krocзки. Kornij też dorabiał u Marcina, „siano wozil, po trzy kopy naraz”, jak sam chwalił się Marii.

Dni, dni, dni... Maria idzie przez życie, śpiewa, pracuje, śpi. Śni jej się sen. Ręce jej odmawiają pracy, oczy tracą uważność. Ej, Mario! Słuchaj no, czarna dziewczyno, co ci się stało? Nie rumień się i nie opuszczaj powiek.

Spałaś, Mario, ostatniej nocy? Dobrze spałaś? Dlaczego nie spałaś, dziewczyno? Byłaś przecież zmęczona, ręce drętwiały, w plecy jakby ktoś kolki wetknął... Czegoś tak długo obracała się z boku na bok, czegoś chodziła napić się wody, czegoś żegnała się i wychodziła pod jasne gwiazdy, stapała po jesiennej rosie gorącymi stopami?

Milczysz, Mario?

Stało się to w promienny wieczór. Maria nabiera wodę ze studni. Studnia jest głęboka, dwadzieścia pięć sążni. Wyciąga wiadro za wiadrem, przelewa do koryta, bo z pastwiska przyjdzie bydło – trzeba dać mu pić. Nabrała, nalala i poszła do domu. Zaturkotał wóz drabiniasty i zza sadu wyjechał Kornij. Bielą się zęby na jego opalonej twarzy, wiatr rozwiewa loki. Konie rozpedziły się, a on jedzie na stojąco, w kaszkiecie na bakier, trzymając w rękach wodze.

Właściwie Maria nie musi od razu biec do domu, potrzebuje jeszcze jednego wiadra wody. Faktycznie, zapomniałaby. Zawiesiła wiadro i opuszcza je. Ach, co za niezgrabne ręce. Nie wytrzymują czy co? Drżą jak szalone. Kornij, o Boże, już podjechał.

– Prrr! – I wodze naciągnęły się jak struny. Maria męczy się z wiadrem.

– Napoisz konie, Mario?

– Kupisz korale, napoje!

– Sama jesteś jak koralik.

– Śmiej się śmiej, dam ci grosik.

– Ech, Mario, bo jak zeskoczę z wozu! Nie drocz się ze mną!

– To co? Pomożesz wyciągnąć wiadro? O, już sama wyciągnęłam.

– Mario, nie żartuj, bo, na Boga, pocałuję.

– Ha, ha, ha!

– Ach, ty!... – Hop... i już jest przy niej. Złapał, objął, przechylił przez cembrowinę i wpil się w jej czerwone soczyste wargi. Jęknęła, wila się, omdlewała. Mocna ręka nie pozwoliła jej spaść w dół, a Maria zapomniała, że jest nad studnią. Tam przecież głęboko.

– To masz! – Postawił ją na nogi i śmieje się. Oprzytomniała, rozejrzała się. Inny świat, nie ten co wcześniej. Olbrzymie słońce właśnie zachodziło.

– Ach, coś ty zrobił, Korniju? A jeśli wpadlibyśmy do studni? Jeśliby nas zobaczyli? Zęby, niebieskie oczy i loki śmieją się:

– Wykąpalibyśmy się, Mario! Niech patrzy ten, komu to mile. Pójdiesz na nieszpory w sobotę?

– Z Tobą? O mój Boże! Opamiętaj się!

– Ale pójdziesz?

– Zawsze chodziłam, to i teraz pójdę.

Kornij sam napił konie.

IV

W sobotę, gdy słońce dociera do strumienia, powoli rozbrzmiewa wielki monastyrski dzwon. Stara, rozległa wieś zagrzebała się w ogrodach, gajach, wąwozach. Za wioską ścielą się pola, granatowieje las, suną niczym ptaki chmury i niczym chmury – ptaki. Promienie słoneczne przecinają wierzchołki topoli, wysokich dębów, czepiają się złoconego krzyża monastyrskiej dzwonnicy.

Bamm!... Bamm-m!... Bamm-m!... – daleko i szeroko rozlewają się fale dźwięku. Na polach, w sadach prostuje plecy pracowity lud i słucha: Bamm!... Bamm!... Bamm!...

Maria nadal „sieje” w polu. Marcin sieje pszenicę, a Maria krąży wokół niego i zamasyżuje wbija „łaszi”. Tu również dotarły fale dzwonu. Marcin zatrzymał się, zdjął swój wytarty kaszkiet i trzy razy szeroko się przeżegnał. Maria także się żegna, a w jej oczach natychmiast pojawia się obraz z białymi zębami na opalonej twarzy, niebieskimi oczami i jasnymi lokami.

Spojrzała na nieobsiane pole. Boże, gdzie ta miedza! A nieobsianego nie można zostawić. Miękka ziemia prosi o zboże. Jutro przecież „pamiętaj abyś dzień święty...”. Ziemia nie będzie czekać, to grzech zmuszać ją do czekania. Dosiejemy – a potem na nieszpory...

Powoli, szeroko stąpa Marcin i garścią wielką niczym sagan rozrzuca bursztynowe ziarno. Sypie się i szeleści. Ziemia wita je serdecznie i już przygotowuje soki i aromaty przyszłego chleba.

– Nie spiesz się, Mario – mówi Marcin. – Nie nadążam za tobą. Nie można tak na hurra. Ziarno musi się równo ułożyć.

Maria zwalnia. Bose stopy grzęzną głęboko w polu. Konie podążają za siewcami, ciągnąc brony, przykrywając zboże ziemią. Marcin idzie równo, niczym maszyna,